№ 37. Warszawa, 12 Września 1908 roku. Rok I.

SPOŁECZEŃSTWO

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

Prenumerata: w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie kop. 65. Numer pojedyńcz. — kop. 15. Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 kop. 25. Numer pojedyńczy kop. 15. Za zmianę adresu — 22 kop.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek.

Red. i Administr. Żórawia 29 m. 2; Tel. 116 67.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7—prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 2 — 3 p. p. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

Przypominamy Szan. Prenumeratorom o terminie odnowienia przedpłaty na kwartał IV.

W Numerze dzisiejszym zaczynamy drukować nową powieść autora „Trzęsawiska" Sinclaira p. t. **„Metropolis"**. Utwór ten w szeregu barwnych obrazów z życia amerykańskich miljonerów rozwija poważną ideę społeczną.

TREŚĆ NUMERU.

LEON TOŁSTOJ JAKO TWÓRCA.

Rok 1852 stanowi epokę w życiu Tołstoja. W tym roku obudził się jego genjusz twórczy i natychmiast zwrócił się ku tym ideom kierowniczym, które przyświecały mu odtąd aż do końca.

Jestto idea rozwoju moralnego i artystycznego, t. zn. na odczuciu powszechności opartego, jej wcielenia.

»Przeznaczeniem człowieka» pisał wtedy jest «dążenie do doskonałości moralnej: dążenie to łatwe do osiągnięcia możliwe, wieczne«.

W tych kilku słowach streszcza się on cały — i cały jego dramat wewnętrzny. Bo oto w ciągu życia swojego Tołstoj unikać będzie wszystkiego co ciężkie, co napozór do osiągnięcia niemożliwe a jednocześnie jednem skrzydłem ducha swego będzie się rwał ku wieczności aż dojdzie w rezultacie do krainy mgły wieczystej, do tajemniczego przeświadczenia, że »ktoś go posłał, aby on coś zrobił«, »kto« atoli i »co», dokładnie niewiadomo. I oto początek całożyciowej rozterki duchowej. W tej atoli ciągłej rozterce — źródło twórczości jego.

«U Tołstoja» pisze Owsianik — Kulikowskij« obudzenie się żądzy tworzenia powstało równolegle z pragnieniem pogłębienia duszy własnej, z dążeniem do poznania i do przedstawienia siebie w swoim rozwoju lub w swojej fazie przejściowej»

I pod tym względem stanowisko Tołstoja w literaturze rosyjskiej jest odosobione. Popierwsze dlatego, że wtedy, gdy np. Puszkin, Gogol, Turgieniew i inni dążyli do *wyjścia* z siebie w lud, w społeczeństwo, w ludzkość, w sztukę, Tołstoj stale, krok za krokiem *wchodzi* w siebie i walczy przedewszystkiem z sobą; nie tyle spokój, szczęście, postęp ludu, społeczeństwa, ludzkości ma na celu, ile spokój i szczęście własne — jednem słowem zajmuje stanowisko najbardziej może artystyczne, przypominające Nietzschego, Lermontowa, Mickiewicza (oczywiście bez jego programu etycznego), stanowisko w istocie religijne, zbudowane na przesłance logicznej (w praktyce wyzyskiwanej jednakże haniebnie od wieków), wobec której człowiekowi przedewszystkiem chodzić powinno o zbawienie własne, o nieśmiertelność osobistą, ta bowiem zapewnia znakomicie i jedynie najbardziej intensywną i produkcyjną działalność dla dobra narodu, ludzkości, wszechświata—widocznem jest bowiem, najwidoczniejszem, że istota nieśmiertelna nieskończenie więcej zdziałać może, niż istota chwilowa, bezsilna, słaba, której życie jest właściwie gniciem, próchnieniem, zarazą.

Stanowisko takie — zaznaczamy — niebezpieczne wielce. Można, zeń wychodząc, dojść, coprawda, do królestwa bajecznych rycerzy, ale jeszcze łatwiej można wpaść w epikureistyczny kabotynizm, w ten sławny, popularny egoizm, którego ofiarą i padł mistrz z Jasnej Polany i padła też, niestety, niejedna plejada artystów.

Drugim czynnikiem, wyróżniającym Tołstoja z szeregów pisarzy rosyjskich jest jego wiara w siłę moralną osobistą jako w moc decydującą zawsze a także w kwestjach państwowo-społecznych. Wiarom w inteligencją, w chłopa, w estetyzm, w robotnika, wreszcie w duchowieństwo z artyzmem zlane, tym wiarom, które ożywiały jedna po drugiej literaturę rosyjską w ciągu ostatniego półwiecza, Tołstoj przeciwstawia wiarę w siłę moralności osobistej, jakdyby wtórując sławnemu irlandczykowi O'Connorowi, marzącemu o zwycięstwie socjalnem siłą moralną i elektrycznym pędem opinji publicznej. Tylko jeden Dostojewski odpowiada w tym razie poniekąd Tołstojowi, ale jako artysta, nie zaś (jak tego dowiódł Mereżkowski) jako człowiek.

Podejmując się walki z sobą. Tołstoj nielada podjął się zadania. Zaniedbany, zachwaszczony las przesądów i urojeń kilkowiekowej arystokratyczno-biurokratyczno wielkopańskiej kultury, tkwił głęboko korzeniami

w naturze jego. Wytrzebienie go przewyższało siły jednego człowieka. To też pod lasu tego brzemieniem padł Tołstoj. Jak z pod toni morskiej wynurzała się czasem nad lasu tego powierzchnią opancerzona promieniejąca pierś jego, to znów głowa rozwichrzona złowieszcza, niby króla leśnego z bajki, ale po chwili noc lasu pochłaniała go. Więc padł nareszcie wyczerpany.— Atoli przez walki jego nieśmiertelnym będzie. — Tyle w nim miejscami artyzmu. tyle tonów od szczebiotu dziecięcego do piorunów, tyle błagań, łkań, rozpaczy.

Jak powiedzieliśmy twórczość Tołstoja poczęła się w r. 1852.

Właśnie wtedy, gdy po przerwanych studjach uniwersyteckich i po niefortunnych próbach pracy na roli i śród ludu, Tołstoj przyszedł do przeświadczenia, że ani wiedza, ani praca, t. zn. niemyślenie, zapomienie, o sobie, nie wystarczą, by dojść bowiem do ideału niezbędną jest twórczość — Tworzenie innych stanów duszy, tworzenie sytuacji do innych myśli pobudzających, stało się odtąd jego zadaniem życiowem.

Przyjrzyjmy się im tedy, tym sposobom tworzenia, tym sytuacjom myśli nowe budzącym.

Pierwszem uczuciem, które starał się wytworzyć w sobie Tołstoj było uczucie wstrętu do otoczenia. Bohaterem otoczenia jego wtedy był: człowiek comme il faut (człowiek jak wypada).

Całą nicość i ohydę społeczną tego typu opisuje nam bohater »Młodości« Irtienjew.

Opowiada mianowicie o tem, wiele pracy go kosztowało dojście do wszystkich zalet człowieka comme il faut, wiele czasu najdroższego stracił na marne, co chwila obserwując swoje paznogcie, co chwila ćwicząc się w ukłonach, w tańcach, w rozmowie oglądając swoje ubranie; to znów wyrabiając w sobie zdolność wyrażania na swojej twarzy, o każdej chwili, gdy tego zajdzie potrzeba, pewnej uroczej, pogardliwej nudy.

Jednakże ciągnie dalej:

Ani strata drogiego czasu, ani nienawiść i pogarda do 9/10 rodzaju ludzkiego, ani obojętrość na wszystko piękne, które się dzieje po za kółkiem comme il faut — to wszystko nie było jeszcze złem głównem tego pojęcia — Zło głównie zawierało się w przekonaniu, że »comme il faut« jest samodzielnem stanowiskiem w społeczeństwie, że nie potrzeba być ani urzędnikiem, ani żołnierzem, ani uczonym i t. p.; kto stanie się bowiem comme il faut ten już wypełnia swoje przeznaczenie i wywyższa się nad większą częścią ludzi«.

Nieco później, drugi bohater Tołstoja Olenin (Opowieści Kaukaskie), leżąc na łonie majestatycznej przyrody, podczas polowania, rozmyśla:

»I oto nagle z jasnością osobliwą przychodzi mu do głowy, ży on Dymitr Olenin, taka odmienna od innych istot, leży teraz sam, Bóg wie gdzie, w tem miejscu, gdzie żył jeleń I zrozumiał wyraźnie, że on nie jest bynajmniej szlachcicem rosyjskim, członkiem towarzystwa moskiewskiego, przyjacielem i krewniakiem takiego to, ale poprostu takim samym komarem, lub bażantem, lub jeleniem, jak te, które żyją teraz dokoła niego«.

»Czyliż« myśli on »chęć pozostania zwykłym kozakiem, by żyć obok przyrody, nikomu nie szkodzić, przeciwnie jeszcze dobrze robić ludziom, czyli marzenie o tem jest głupstwem większem nad marzenie o tem, aby np. zostać ministrem, lub komendantem pułku«?

Oleninowi robiło się coraz weselej, raźniej. Wszyscy kozacy, woźnice, nadzorcy, wydawali się mu istotami prostemi, z któremi można boło żartować, rozmawiać. nie zastanawiając się nad ich rangą«.

Myśli te atoli nowe i ciekawe dla panicza moskiewskiego nie mogły mieć należytej mocy artystycznej, niezwyciężonej — świat stary w nim żyje, jak żył. Wystarczy, aby przyjechał ktoś z jego dawnych znajomych moskiewskich, a wszystko, tak piękne, pierzcha.

»Najbardziej go gniewało to, że on (Olenin) nie mógł, stanowczo nie był w stanie, odejść od tego człowieka, *z tego świata*, jakgdyby ten świat stary. dawny jego świat miał do niego nietylko prawo«.

I coraz jaśniej począł pojmować, że dla zwycięstwa nad tym światem nie wystarczą ani tyrady płomienne, ani autosuggestyjne budzenie uczuć wstrętu i pogardy, ani pojęcia szczytne i liberalne — ani wreszcie tworzenie typów ludzi pierwotnych w rodzaju kozaka Jeroszki, lub kozaczki Marjanny. Nie wystarczy *prawda* ludzi natury.

JANUSZ KORCZAK.

„WOT TAK ISTORJA".

— Wot tak istorja, — powiedział Józef Piotrowicz, biorąc się do pakowania ostatniej walizki.

Józef, syn Piotra, powiedział to po rosyjsku nie dlatego, by był rosjaninem lub szczególnym zwolennikiem języka, kultury lub literatury rosyjskiej, a jedynie i wyłącznie dlatego, że zdanie to samo, z tym samym akcentem i gestem zwykł był mawiać naczelnik wydziału gospodarczego, rzeczywisty radca stanu, Grzegorz syn Karola Grüngarten. A Józef Piotrowicz pracuje w wydziale gospodarczym lat dwadzieścia dwa, z których lat dziewięć pod tym samym naczelnikiem.

— Wot tak istorja, — mawiał Grzegorz syn Karola, przechylając głowę w prawą stronę i wznosząc lewą brew w górę, gdy coś go zdziwiło.

— Wot tak istorja, — powiedział Józef syn Piotra, przechylając głowę w prawą stronę i wznosząc lewą brew w górę, gdy zabierał się do pakowania walizki.

I w rzeczy samej: przeprowadzka dla Józefa Piotrowicza była wypadkiem niezwykłym, ile że lat siedmnaście zajmował ten sam pokój na tem samem piętrze, z tym samym z okna widokiem i tem samem biurkiem, pozostawionem mu w spadku przez stryja. Ojca Józef Piotrowicz nie znał, matka odumarła go, gdy liczył lat dziewięć, a z bratem pogniewał się lat temu szesnaście.

Gdyby nie brat, Józef Piotrowicz byłby dziś żonaty. Może i lepiej się stało. Gdzież jemu do żeniaczki? — Szczęście w małżeństwie ten tylko znaleźć może, kto na rodzinę zarobi — i to dużo zarobi, — a tak...

Józef Piotrowicz wyjął z szuflady biurka zwitek listów pisanych przez nieboszczyka ojca do nieboszczki matki i umieścił je na dnie walizki. Obok listów złożył paczkę starych gazet, pieczątkę stryja nieboszczyka, papierośnicę, którą stryj nieboszczyk otrzymał w darze od kolegów biurowych na rocznicę nieskazitelnej służby, dalej — wiele różnych pamiątek, bądź owiniętych w gazetę starannie, bądź przewiązanych sznurkiem. — Pamiątki szklane, które mogły uledz stłuczeniu, przekładał bielizną.

Wśród szklanych pamiątek była kula, napełniona wodą, z jeźdźcem na dnie; gdy się tą kulą potrząsnęło i postawiło, — na jeźdźca śnieg padał. Tę pamiątkę owinął Józef Pietrowicz bardzo starannie w kalesony i włożył w czapkę futrzaną. Raz i drugi przechylił walizkę.

— Chyba się nie stłucze, — powiedział; ale dla pewności dodał jeszcze koszulę.

I tak powoli, zawartość szuflad odziedziczonego po stryju biurka. przenosiła się do walizki.

Spieszyć się nie było potrzeby, bo przeprowadzka odbyć się miała dopiero za dni kilka, a choć dziennie Józef, syn Piotra mógł jej poświęcić nie więcej niż dwie pozabiurowe godziny, wątpliwości nie ulegało, że zdąży

Dla zwycięstwa nad tym światem trzeba się oprzeć na szerokich narodowych podstawach, trzeba wytworzyć wielkie, syntetyczne typy narodowe, one swoim urokiem zaćmią i człowieka comme il faut, i karjerowicza, i panicza.

I oto powstają dwa wielkie narodowe typy: Platon Karatajew – chłop — zołnierz i Kutuzow — wódz z woli narodu (patrz »Wojna i Pokój«).

Przywiązań, przyjaźni, miłości w naszem pojęciu Karatajew nie ma żadnych; ale on kocha i miłością się łączy ze wszystkiem z czem go kojarzy życie a osobliwie z człowiekiem, nie z określonym jakimś człowiekiem, ale z temi ludźmi którzy w danej chwili są przed jego oczami. On kocha swego Burka, swoich towarzyszy, Francuzów, Pierre'a, który był jego sąsiadem: Pierre jednak czuł, że Karatajew pomimo całej tkliwości swojej względem niego, nie zasmuciłby się ani na chwilę, rozstając się z nim.

Każda czynność jego była wyrazem niewiadomej mu siły, która była jego życiem. Ale życie jego, w oczach jego, nie miało sensu; miało zaś sens jako cząstka tej całości, którą on ciągle odczuwał. Karatajew nie jest typem tylko stanowym, chłopskim, Karatajew jest typem ogólno-narodowym rosyjskim.

Jest on fatalistą i optymistą.

»My wszyscy, rosjanie« pisze prof. Owśiański — Kulikowskiej »fatalistaml i optymistami jesteśmy«. Nie jest to atoli ów fatalizm i optymizm europejski, dominujący jedynie w sferze myślenia, to jest fatalizm i optymizm woli, wiodący do zabicia energji jednostki, inicjatywy społecznej, do przygnębienia samopoczucia, do bierności. I to jest najsłabszą stroną tego typu.

»Los« mówi Karatajew »głowy szuka. A my wciąż rozmyślamy — to dobre a tamto niedobre. Nasze szczęście, przyjacielu, jak woda w koszu; ciągniesz — nadęło się a wyciągniesz — nic niema«.

Wszystko w jego oczach samo idzie ku lepszemu.

Stąd łatwość niezmierna do pogodzenia się ze wszystkiemi okolicznościami, chociażby one nawet wołały o pomstę do Boga. Stąd też i niemoc tego typu. Na zwycięstwo, coprawda, człowieka comme il faut sił mu jeszcze starczy, do absolutnego atoli zwycięstwa nie doprowadzi nikogo.

Idealizacja tego typu jest bardzo niebezpieczną. Stała się też ona źródłem ostatniej klęski Tołstoja. Do przedstawicieli tego układu woli należy też i Kutuzow.

Hasłem jego: czas i cierpliwość.

Jego teorja prowadzenia wojny polega na wyczekiwaniu, na cofaniu się, na braniu głodem.

»Wziąć fortecę« mówił Kutuzow »rzecz łatwa; trudno kampanją wygrać. A dla tego nie trzeba ani szturmować, ani atakować, ale potrzeba czasu i cierpliwości. Wierz przyjacielu nie masz potężniejszych rycerzy nad *czas i cierpliwość*; ci wszystkiego dokonają. Nie mając decyzji bądź wstrzemięźliwym«.

I oto książe Andrzej odchodząc od niego myśli:

On (Kutuzow) nie ma nic własnego. On nic nie wymyśli, niczego nie przedsięweźmie — ale wszystko wysłucha, wszystko zapamięta, wszystko postawi na miejscu należnem, niczemu, co pożyteczne, nie zaszkodzi na nic co szkodliwe, nie pozwoli. On rozumie, że jest coś silniejszego i znakomitszego nad jego wolę a tem jest nieprzezwyciężony bieg wypadków.

I w samej rzeczy nawet w najstraszniejszej chwili Kutuzow właściwie nic nie robi.

Na polach pod Borodinem nie wydaje żadnych rozkazów.

On tylko zgadza się lub nie zgadza na czynione mu propozycje.

»Tak, tak, zróbcie tak. Tak, tak jedź przyjacielu, popatrz. Nie, nie trzeba, lepiej poczekamy«.

Oto jego rozkazy.

Typ niezmiernie ciekawy. Spokój nadzwyczajny. Aparat woli znakomity — ale niestety, łatwo się psujący, i zepsuty nie daje się naprawić. Dość mu stracić wiarę w wielkie przeznaczenie*) a zmieni się w poczciwą, bierną masę Gonczarowskiego Obłomowa.

I znów idealizacja tego typu jest niebezpieczna wielce. A Tołstoj go idealizuje narówni z Karatajewym.

»Zródła tej niezwykłej w nim mocy widzenia« pisze »leżało w tem uczuciu narodowem, którego on był czystym i potężnym przedstawicielem. Tylko uznanie

*) Kutuzow był wybrany na wodza wbrew woli cesarza, a że tak powiemy z woli narodu. Stąd jego wiara w misję zbawienia Rosji.

---

spakować się powoli i systematycznie, by nic nie zgubić, nie zniszczyć, — strat żadnych nie ponieść.

Mówią, że lepiej raz się spalić, niż trzy razy przeprowadzać. Cóż było jednak zrobić, gdy dom szedł pod rozbiórkę, a na jego miejscu stanąć miała wielka kamienica.

— Ot, spekulacja żydowska. Mało mają pustych placów, trzeba im gotowe domy rozwalać. Wieleby można o tem powiedzieć. I tak dobrze, że świeżo wynajęty pokój podobny do dawnego i wszystko stać będzie w tym samym porządku.

Upływały minuty i kwadranse, — nic niespodzianego nie zakłóciło spokoju zajętego pracą człowieka, gdy nagle...

Józef Piotrowicz zbladł na czoło wystąpiły mu grube krople potu, — Józef Pietrowicz w jednej drżącej ręce trzymał arkusz prośbowego papieru, a drugą ciężko oparł się o biurko.

— Wot tak, — szepnął zbielałemi wargami, — ale nie dokończył zdania, które ugrzęzło w ściśniętej krtani.

Józef Piotrowicz trzymał w ręce straszny papier, odnalazł dokument, który rzucał przerażające światło na całą jego działalność dotychczasową, coś co go kompromitowało w jego własnych oczach.

— Spalić, czemprędzej spalić, — krzyczał głos wewnętrzny.

Papier, który Józef Pietrowicz, urzędnik wydziału gospodarczego, trzymał w ręce był to dokument z ubiegłej rewolucji, jaskrawy dowód jego, Józefa Piotrowicza, nielojalności, jego zachwiania się w zasadach, na których opierał się w ciągu całego dwudziestolecia wzorowej służby.

Tyle było w mieście rewizji, mogła być więc rewizja u niego. I znalezionoby ten papier. Jakby się tłomaczył, coby powiedział? Toć najwyaźniej jego ręką i jemu tylko właściwym pięknym charakterem pisma, — wypisane było pod nagłówkiem, co następuje:

„Tem honor mam najpokorniej prosić Waszą Ekscellencję wydać rozporządzenie o naznaczeniu mnie starszym pisarzem gospodarczego wydziału powierzonej Waszej Ekscellencji Instytucji.

„Przy tem przykładam;

„1. Kopię metryki o przynależności do rzymsko-katolickiego kościoła.

„2. Świadectwo cyrkułu o przynależności do polskiej narodowości.

„3. Świadectwo prawomyślności“.

A pod prośbą imię, imię ojca, nazwisko i data u dołu, na boku.

Józef, syn Piotra, gdyby ten papier wpadł w ręce władzy, — musiałby całą prawdę powiedzieć; o wykręcaniu się mowy być nie mogło.

— Ot, zawinił. Gazety pisały o wolności, o autonomji, o polskich sądach, szkołach, urzędnikach, — i Józef Piotrowicz dał się zwieść Uwierzył.

Długo nie wierzył.

Zdawało mu się to tak dziwne, tak nieprawdopodobne, tak niepożądane, by naczelnikiem wydziału był

w nim tego uczucia skłoniło naród takiemi drogami dziwnemi, starca pozostającego w niełasce, wbrew woli cesarza, powołać na przedstawiciela wojny narodowej«.

Czuć atoli i przeczuwać musiał Tołstoj, iż prawda wyłącznie narodowa nie zbawi go.

I oto w wyobraźni jego powstaje bohater nowy szuka już objawienia prawdy absolutnej i żąda odpowiedzi bezpośredniej na »kwestje przeklęte«, śród których wyróżniały się swoim ogromem kwestje życia i śmierci.

Tym bohaterem był Lenin.*)

Jan Bełcikowski.

NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

Rozdźwięk w społecznej demokracji niemieckiej przyjmuje rozmiary poważne. Rewizjoniści postanowili za wszelką cenę wywołać burzę i uczynić Kongres najbliższy terenem gruntownej rewizji wartości taktycznych. Jeszcze nie przebrzmiały słowa wygłoszone przez Hervégo na kongresie międzynarodowym, słowa wymierzone przeciw bezczynności i ociężałości partji niemieckiej: »jesteście maszyną do głosowania«. Obecnie powtarzają to samo rewizjoniści; oczywiście, bynajmniej nie dla tego, żeby przeistoczyć organizację społeczno-demokratyczną niemiecką w myśl idej Hervégo. Mówią oni: jesteśmy maszyną do głosowania, chcemy być organizacją czynną, chcemy brać udział w pracach prawodawczych i udział ten manifestować przez głosowanie za prawami. Skoro przyjmujemy udział w komisjach, pracujemy nad wypracowywaniem poszczególnych praw, chcemy być konsekwentni i głosować za niemi. Wszakże, jak wiadomo odmawianie budżetu właściwem jest nie tylko społecznej demokracji, stosują je wszystkie stronnictwa opozycyjne, społeczna demokracja zaś jest opozycyjną z zasady nietylko wobec rządu danego, ale wobec całego ustroju społecznego. Jak ważną jest sprawa podniesiona świadczy fakt, że cała organizacja została podniesiona na nogi i wszystkie organizacje miejscowe rozpoczęły przygotowania, aby przyjąć możliwie szeroki udział w najbliższym kongresie. Wszyscy zdają sobie dokładnie sprawę, że chodzi tu nie o poszczególny fakt, o niesubordynację kilku grup partyjnych, lecz o kwestję stokroć ważniejszą — ma się rozstrzygnąć: czy i nadal stronnictwo hołdować ma staremu kierunkowi, czy też wstąpić ma na drogę rewizjonizmu. A bardzo być może, że rewizja dotychczasowej taktyki i nacisk ze strony rewizjonistów, wywoa odruch ze strony czynników bardziej radykalnych i na kongresie dowiemy się o istnieniu nowych prądów wśród społ. dem. niemieckiej, — prądów, o których nie śniło się rewizjonistom. Bądź co bądź toczy się formalna walka wyborcza, w której Południe przeciwstawia się Północy. A południowcy w zapale walki imają się środków dotychczas w partji niepraktykowanych i nie licujących z etyką stronnictwa: jeden z organów rewizjonistycznych »Münchner Post« oskarża zarząd główny, że, aby sprowadzić na zjazd możliwie więcej zwolenników używa policyjnych środków, przeforsowywanie za pieniądze kasy głównej kandydatów organizacji miejscowych nieistniejących lub nierozporządzających fundusza mi potrzebnemi do wysłania delegatów. »Wobec tego — dodaje ten organ — musimy sobie zadać pytanie, czy mamy wogóle przyjąć udział w tym zjeździe, który będzie jedynie komedją z głosowaniem«. Takie postawienie sprawy równa się zagrożeniu wystąpieniem ze stronnictwa i wywołało oburzenie całej prasy partyjnej, nie wykluczając kilku organów południowych. »Bremer Bürgerzeitung« pisze: »Na Południu widocznie nie zdają sprawy z usposobienia panującego w kołach społ. dem. i poglądach na ostatnie wystąpienia oportunizmu; w przeciwnym razie bowiem zastanawianoby się więcej nieco nad własnemi głupstwami. Północnicy i jeśli nas nie mylą pozory — znaczna część południowców dlatego oburzają się na ostatnie kroki rewizjonistów, że żyjemy w czasie, który zmusza stronnictwo do najostrzejszego przeciwstawiania się innym. Wszędzie występują na jaw, na skutek przesilenia gospodarnego, cudowności naszego ustroju i napełniają serce każdego robotnika goryczą. Jeszcze nie zapomnieliśmy wyborów ostatnich, dokonanych pod hasłem bloku, a zwłaszcza ro-

*) Patrz. Anna Karenina.

---

polak, by mówić z naczelnikiem po polsku, by papiery pisać i książki prowadzić po polsku, — bo jakże to? Naczelnika trzeba się bać, szanować, papiery muszą mieć wygląd poważny, urzędowy. I nagle po polsku, — jak jakieś listy prywatne albo co.

„Jego Ekscellencji, Panu Dyrektorowi Wydziału Gospodarczego, — Józefa, syna Piotra, Mięczaka, — Prośba"...

— Mówcie co chcecie: w tem niema powagi.

Najlepszy dowód, że nawet pisownia urzędowych wyrazów nie jest ustalona; toć w słowniku, obok: „*Ekscellencja*", jest i „Excellencja" i „Ekscel*e*ncja". — Zmienia się naczelnik, przychodzi nowy, — i niewiadomo jak pisać; bo napewno każdy nowy naczelnik inaczej każe pisać ten wyraz, — wyraz zasadniczy, podstawowy. — A po rosyjsku: „Prewoschoditielstwo" — i zawsze tak samo...

Ale gazety pisały, pisały, pisały, — i Józef Piotrowicz dał się zwieść: uwierzył, — a uwierzywszy, zadał sobie pytanie:

— Co się stanie ze mną?—Zostawią czy wyrzucą?..

Kiedyś przed laty, jeden z kolegów biurowych przeglądał papiery, pisane ręką Józefa Piotrowicza i powiedział:

— Żal, że to pan ma taki charakter pisma. Miej ja taki charakter, byłbym pisarzem przy ministrze...

Józef Piotrowicz nie zapomniał tego, — nie, by chciał być pisarzem przy ministrze, boć to już zbyt wielka odpowiedzialność, — ale ot, lubiał sobie przypomnieć, że mógłby zrobić świetną karjerę, — Wart, a nie może — z winy pobocznych okoliczności.

I kiedy gazety poczęły już wcale niedwuznacznie wskazywać na tego lub owego, kto miał w autonomicznej Polsce objąć ster gospodarki miejscowej, finansów, oświaty, — Józef Piotrowicz zaczął tak samo powoli i systematycznie przygotowywać się do zmiany warunków pracy, jak dziś się przygotowuje do zmiany mieszkania. — Kupił pierwszą w życiu książkę: słownik Dubrowskiego — i zaczął wprawiać się w pisanie polskich urzędowych papierów wydziału gospodarczego, począwszy od najpospolitszych, codziennych raportów, zapisek, próśb, by w przyszłości przejść do coraz trudniejszych...

Józef Piotrowicz otrzeźwiał, wzory tłomaczeń zniszczył po niejakiem czasie, pozostawiając jedną tylko prośbę o „naznaczenie starszym pisarzem" by w razie jakiegoś nieoczekiwanego, błyskawicznego przewrotu nie być zaskoczonym znienacka.

O tym jednym papierze zapomniał, — dziś szczęśliwym trafem odnalazł go, — spalił, — popiół rozgrzebał żelazną skówką laski.—potem ukląkł, — zmówił dziękczynny paciorek, — dodał po jednej modlitwie za duszę ś. p. dobroczyńcy — nieboszczyka stryja,—a rozbierając się do snu przechylił głowę w prawą stronę, wzniósł lewą brew w górę, i westchnąwszy z uczuciem ulgi, szepnął:

— Wot tak istorja...

li jaką odegrał przytem rząd, w całym kraju klasa robotnicza jęczy pod uciskiem polityki rabunkowej i lichwiarskiej. Każdy świadomy klasowo robotnik ma przed sobą opłakany przykład podupadłego liberalizmu, który naocznie» udowadnia, do czego prowadzi opozycję polityka pojednawcza. Dzień w dzień donosi prasa o nowych zamachach reakcji w Prusach, czyż wobec tego możemy zająć stanowisko dyplamatyzujących parlamentarjuszów. Słowo należy do południowców — niech się wypowiedzą«.

Pozatem stwierdzonem zostało, że głosowanie za budżetem odbyło się z porozumienia organizacji południowych, które na kongresie stutgarckim odbyły tajną konferencję. Mamy więc prawdziwe przesilenie partyjne, ale daleko jeszcze do tego, czego się po nim spodziewa prasa mieszczańska — do rozłamu i rozproszenia.

Rozdźwięk wśród socjalistów angielskich nie wywoła tak poważnych skutków, ale niemniej jest przedmiotem gorących dyskusji w Anglji i zagranicą. Chodzi o to, że przywódca stronnictwa społ. dem. w Anglji Kyndman zajął stanowisko, które wywołało protest wśród jego własnego stronnictwa. Dyskusja toczy się na temat wojny z Niemcami. Blatchford, socjalista niezależny, nieco ekscentryczny, zapalony antyklerykał, ale niemniej gorący patryjota, a nawet powiedzmy, szowinista, nagle zaniepokoił się o losy swojej ojczyzny, której grozi niebezpieczeństwo ze strony Niemiec i począł bić w dzwony swego organu na alarm. Owóż, jak wiadomo, stosunki dyplomatyczne pomiędzy Niemcami a Anglją są naprężone, Niemcy zdawna spoglądają okiem zawiści na Anglję, która ze swej strony potrafiła, za pomocą kunsztownie splecionej sieci dyplomatycznej, kompletnie zizolować dyplomację niemiecką. Jeśli wojna w przyszłości grozi, to grozi ona w równej mierze Niemcom i Anglji, grozi ona całej Europie a może i Ameryce gdyż wojna taka musiałaby się przedzierżgnąć w wojnę wszechświatową. Stanowisko socjalistów zachodnio-europejskich wobec tej ewentualności jest znane, niema więc potrzeby głosić niebezpieczeństwo niemieckie i podniecać uczucia szowinistyczne. Kunter Watto, jeden z najstarszych członków partji społ. dem., ogłosił w »Justyce« protest przeciwko tej pobudce wojennej, która dowodzi braku wiary w własne siły i szkodzi głoszonym przez partję ideom solidarności międzynarodowej; tego samego zdania jest Kein Handie, z którym w zupełności zgadza się Bebel w liście swoim do redaktora» Labom Leadu«, przedrukowanym w »Daily News«. Wszakże Kyndman, stary Kyndman zgadza się z Blatchfortem i wraz z nim powtarza: brońmy się przed najazdem niemieckim.

Stanowisko Kyndmana może być wytłomaczone przez fakt, że William Thorn, członek tegoż stronictwa, wnosi na najbliższą sesję Izby projekt milicji narodowej, uzbrojenia wszystkich obywateli angielskich. Ma to być armja ludowa, której zadaniem będzie jedynie i wyłącznie obrona ojczyzny przed inwazją. Hyndmanowi i Thornowi może tedy chodzić o uzbrojenie ludu na wypadek, gdyby dyplomacja angielska dopuściła do wojny angielsko-niemieckiej. Wszakże projekt podobny jest sam przez się tylko manifestacją, a jeżeli taka manifestacja ma się odbyć kosztem zdziczenia szowinistycznego, to trudno przyznać jej stronność.

Zjazd kaatolicki niemiecki, który odbył sie w ostatnich dniach wywołuje następujące, nieco spóźnione, refleksje ze strony »Lecha« gnieźnieńskiego: »Na dotychczasowych zjazdach katolickich omawiano najrozmaitsze sprawy, ale o polakach zachowano milczenie. Katoliccy mężowie stanu głoszą piękne frazesy, zapewniają nas, że reprezentują oni w Niemczech prawo i wolność, wszakże ani słowem nie zaprzeczyli swemu hakatyzmowi. Czyż przywódcom zjazdu katolickiego nic nie wiadomo, o prawach eksterminacyjnych wymierzonych przeciwko katolikom w Niemczech? Czy podpory katolicyzmu w Niemczech nie mieli okazji napiętnować tych czynów? Ale oni milczeli o bezprawiu dokonanem na ich braciach, ponieważ bracia ci — to polacy, nie należy pozbawiać się sympatji rządu. Świat dąży do światła i wolności i poznaje obłudę, aczkolwiek ukrytą pod połączeniem niewinności. Myślicie tylko o własnych interesach. Gorzką prawdę rzucimy wam w oczy: chcecie tylko powrócić do rządów, byłoby wam przyjemnie, gdybyście się mogli wygrzewać na słońcu rządowem. Przytym wpadliście w przesadny byzantyzm. Milczycie o polakach, ponieważ dziś nie opłaca się ujmowanie za narodem podbitym, wygodniej jest wygłaszać utarte zdania o niemoralnych książkach i posyłać w świat telegramy, ponieważ przez to nikogo się nie dotyka...

To wszystko jest prawdą, ale prawdą starą, którą katolikom nietylko miemieckim »rzucano w twarz« już niejednokrotnie. Ale oni nie zwykli się przejmować.

Szach perski pragnie zaciągnąć pożyczkę, której odmawiają zgodnie finansiści europejscy. Demokraci konstytucyjni, którzy dotychczas jeszcze walczą na szańcach Tauryzu, wystosowali do prasy liberalnej Europy telegram następujący: »Zburzywszy parlament, szach pocznie zaciągać pożyczkę na cele dalszego pogwałcania praw ludu perskiego. Protestujemy pod adresem narodu francuskiego i narodów liberalnych Europy przeciwko tej pożyczce, która ma na celu jedynie i wyłącznie zniszczenie naszych swobód narodowych. Odmawiamy za nią wszelkiej odpowiedzialności«.

Wszakże byłoby błędem przypuszczać, że telegram ten wpłynął na finansistów europejskich. Interesa bowiem są interesami, a interesa bankierów nic nie zyskają na wprowadzeniu swobód w Persji, gdyż pod kontrolą instytucji reprezentacyjnej znacznie trudniej ciągnąć zyski niż bez tej kontroli. Odmowa nastąpiła wskutek tego, że Mohamed-Ali nie zgodził się na warunki bankierów: utworzenie »kontroli finansowej, czyli oddanie zarządu finansów kraju w ręce bankierów europejskich. Bankierzy zaś, jakkolwiek żądni zysków, nie lubią zbytnio ryzykować.

Almar.

LEONIDAS ANDREJEW, W OSTATNICH SWYCH UTWORACH

(Ciąg dalszy).

Lecz Andrejew jest nietylko grabarzem, jest on zarazem — zabójcą. Jest on nietylko burzycielem, lecz przytem — Herostratem. I to jest grzechem jego, bo dokoła siebie — poza obliczami kawalerów i dam bractwa dżumy — nie może nie widzieć on innych twarzy — energicznych, śmiałych, pewnych siebie, spoglądających przed się z wiarą i nadzieją; nie może nie widzieć — poza chuderlawemi, zgiętemi postaciami konających zatraceńców — silnych piersi, drżących pod mocnemi uderzeniami serc zdrowych; nie może nie widzieć spracowanych rąk, mocarnych i strasznych; nie może nie słyszeć nowych marszów, nowej, dziś jeszcze cichej, muzyki przyszłości; nie może nie czuć — poprzez duszące tchnienia zarazy śmiertelnej — aromatu wiosny obiecanej i zbawczej. Chwilami z zachwytem prawie zatrzymuje się on przed owymi nowymi ludźmi, tworzącymi to wszystko (Trejcz i inni w „Ku gwiazdom"). Lecz wnet się opamiętywa i chmurzy. I wówczas on — emisarjusz śmierci — on — jeden z zadżumionych — pragnąłby podkraść się z cicha do każdego, kto umrzeć nie chce, i znienacka wepchnąć mu w piersi

swój rydel. Dla tryumfu swego. Andrejew musi wszystkich i wszystko wtrącić do grobnego dołu. Chciałby, jak samum straszliwy, przebiec nad światem i pozostawić po sobie jeno zniszczenie i pustynię.

Ale wtedy — gdy Andrejew z taką energią w gruz zwala gmachy, w których przez setki lat żyli zabici, nieswiadomi godności swej i praw, ludzie — gdzieś po za nim, przy minach wznoszą się twierdze nowego życia, budowa ich posuwa się naprzód coprawda powoli, wolniej niż zniszczenie Andrejewa, ale pewniej. I tak wzrastać one będą mimo przeszkody wszelkie, mimo wszelkie wysiłki burzące wszystkich Andrejewów świata tego. Lecz Andrejew tego nie rozumie. I w przystępie szalonego zwątpienia w wartość i trwałość budzącego się nowego życia, rzuca się, wali taranem w mury jego, lecz one pozostają całe, nieuszkodzone. Nie może on pojąć jeszcze, iż stworzon jest, by burzyć i niszczyć wszystko, co stare i przeżyte, nie jedynie po to, by burzyć i niszczyć, lecz by świat oczyszczać za przyjście tego co młode, i świeże, i silne. Gasił dymiące świeczki fałszywej i kłamliwej kultury, deptał blask pochodni indywidualizmu, rzekomo leczniczy ognik rewolucyjnego racjonalizmu aż oto oślepiła go zorza poranna, więc i słońce wschodzące, zbawienne słońce nowego życia, budzącego się po długiej nocy, zapragnął stłumić czarną kirową powłoką. Lecz próżno. Bo Andrejew może tylko to wzrokiem osnuć, co oszukańczo zdało się być jasnością, bo może on jeno światłość dnia wschodzącego pozbawić plam ciemnych. I ostatnich pięć jego utworów, które w artykule niniejszym omawiać będziemy, są jaskrawą ilustracją dążeń i pragnień autora.

III.

Gdy ukazało się „Życie człowieka" Andrejewa, — ów gromowy cios wymierzony z taką sprawnością i siłą w iluzje indywidualnego szczęścia człowieka, — wiele rzeczy, a nadewszystko zastanawianie się nad ewolucją twórczości autora nasuwało przypuszczenie, że Andrejew zwróci miecz swój burzący, który zawisł nad życiem człowieka, przeciwko życiu ludzkości. Napisany następnie „Łazarz" był jasnem i wyraźnem potwierdzeniem tych przypuszczeń. W postaci boskiego Augusta Andrejew dał typ człowieka, żyjącego historycznymi horyzontami, bohatera gatuku pełnego wiary, chęci i pragnienia życia. I w końcu spotkanie olbrzyma tego z Łazarzem — zwiastunem śmierci nieuniknionej — wywołuje wewnętrzny upadek tytana życia. Tylko dzieci nie boją się Łazarza. Lecz to przecież jeszcze nie ludzie. W „Łazarzu" brzmi rozpaczliwy krzyk lęku wobec śmierci, brzmi głosem mocnym, podrywającym serce. „Łazarz" jest z jednej strony symbolem wegetacji wszystkiego, co niegodnem i obcem jest życiu, co w rzeczywistości jest martwem, chociaż chwilowo zmartwychpowstałem, z drugiej zaś strony — ma on być dowodem udzielenia się owego przeczucia nieuniknionego kresu i ludziom gatunkowego typu historycznego. I poddając w wątpliwość siłę ludzi i wiarę ich w powołanie, które spełnić winni, Andrejew jednocześnie stara się obnażyć ich istotną wartość, pragnie zerwać maskę z duszy człowieczej i odsłonić przed oczyma wszystkich prawdziwe jej oblicze, na którego widok, według niego, stanie się zrozumiałą i pojętą konieczność powszechnego zniszczenia. I, by dopiąć celu swego, Andrejew przeciwstawia Łazarzowi — symbolowi nędzy i bezwartości życia — Chrystusa — symbol prawdy, wiary i idei. Głównem zadaniem Andrejewa było dowiedzenie, iż Chrystus jest piękny, dobry i wzniosły, lecz ludzie, dla których cierpiał, są obmierzli, źli i marni, niegodni miłości, nie warci ofiary. Judasz — uosobienie chaosu, rozdwojenia, empiryzmu w wszech świecie i psychice — chciał dowieść Chrystusowi i dowiódł, że on jest jeno marzycielem. Judasz, pomijając wszystko straszne, smutne, męczące, jest tylko bratem apostoła Tomasza. Chrystus idzie na męki dla dobra ludzi. A ludzie będą jego twarzą męczeńską ścierali z podłogi plwociny. A oni, których On sercem całem pokochał, pozostaną przy życiu i odwagi nie będą mieli obronić Mistrza swego.

Teza Andrejewa mówi: Oto Chrystus — wcielenie prawdy, miłości i wiary, oto On, co krwią swą, i męką, śmiercią okupić pragnął szczęście wasze, ludzie, na ziemi; a wyście Go oplwali, a wyście Go spokojnie w ręce katowskie oddali; — i czy warto cierpieć dla was — czy warto was miłować,—czy warto o szczęście wasze dbać?.. Dowodzenie to jednak nie wytrzymuje krytyki. Że apostołowie, szczególnie zaś Piotr, zachowywali się niegodnie i tchórzliwie podczas mąk Chrystusa — to prawda. Lecz skąd miało wziąć się do nich męstwo? Szczególnie zaś agresyjne? Azaliż nie sam Chrystus wpajał w nich zasadę — dobrem za złe odpłacać? nie sprzeciwiać się złu. Azaliż nie uzdrowił On ucha Malchusowi? Nie zabronił użycia miecza? Azaliż nie mówił Chrystus, iż Bóg na pierwszy zew Jego conajmniej dziesięć legjonistów anielskich na ziemię ześle?

Tak, Chrystus rzekł zaprawdę: „ale teraz kto ma mieszek, niech go weźmie, także i tainstrę; a kto nie ma miecza, niech sprzeda suknię swoją, a kupi go. Lecz była to chwila zwątpienia, słabości i chwiejności. W oną chwilę może w mózgu Chrystusa, osaczonego ze wszech stron przez wrogów, zbudziła się pamięć męczeństwa zelotów, wołająca o pomstę. „Czy posiadacie broń?" — "Panie oto tu dwa miecze". „Dosyć jest, — odrzekł Pan, i pewnie uśmiechnął się smutnie. I trzeba było wybrać inną taktykę. Taktyką tą — było męczeństwo, cierpliwość i dochowanie wiary zasadom swym. I ona właśnie ukorzyła przed sobą prawie świat cały. Lecz z bierności jedenastu apostołów wyciągać wniosku o nędzności rodu ludzkiego — niewolno. Tak, Pismo Święte jest straszliwą satyrą na ludzkość, tak, to prawda. I Andrejew tematu tego nie wyczerpał. Lecz ludzkość współczesna Ewangelji to tylko część motłochu z czasów upadku starożytnego świata.

Oto uczniowie Pytagorsa, gdy demokracja Krotona napadła na dom, w którym się naradzali, — z ciał swych utworzyli po przez ogień pożarny most, by uratować ubóstwionego mistrza swego.

Czyż rzeczywiście trzeba opowiadać o bohaterstwie tłumu? o heroizmie człowieka? To śmieszne. Historja jest przepełniona przykładami. Nie kwestjonuję niezwykłej siły i niezwykłego piękna utworu Andrejewa, konstatuję tylko fakt, iż zamierzonego celu autor nim nie osiągnął. Ile tysięcy chrześcjan w imię Chrystusa zginęło na arenach. Grzech Piotra stokrotnie omyła krew męczenników. Ludzkość, głównie ta część jej, co poprzez piekła cierpień dąży ku nowemu, jasnemu i szczęśliwemu życiu, odpłaciła miłością za miłość, męką za mękę, krwią za krew. Ludzkość — jest mieszaniną złego i dobrego, jak sam Judasz.

Andrejew pragnie wzbudzić w nas sympatję do Judasza i wstręt do ludzkości. Daremne wysiłki. Szaloną, okrutną, lecz zarazem piękną i zachwycającą jest historja naszego gatunku. Czyż wart on jest ofiar męczeńskich i bohaterskich poświęceń? Andrejew i Judasz Iskarjota twierdzą, że nie. Sami zaś bohaterowie i męczennicy przypuszczają, że tak. I pewnie jest im smutno i boleśnie, że ich nie rozumieją.

(Dok. nastąpi.)

WRAŻENIA CHŁOPA Z WYCIECZKI DO CZECH.

Czytelnicy nasi przypominają sobie może wzmiankę, którą swego czasu zrobiliśmy o zbiorowej wycieczce włościan naszych do Czech. Wycieczka ta

jest faktem poważnym w życiu naszego włościaństwa i z tego względu na uwagę szerszego ogółu zasługuje. Była to wycieczka drobnych rolników, a więc ludzi należących do tej sfery, która wszędzie najmniejszą ruchliwością się odznacza. Wycieczka miała cel kształcący, była jak na chłopskie stosunki kosztowną bardzo, bo za pobyt 10 dniowy trzeba było zapłacić 35 rb. od osoby. A jednak pomimo, że odbywała się w lecie, a więc w porze najniedogodniejszej dla drobnego rolnika, pomimo, że to był „przednówek", a dalej, że kontragitacja ze strony dworów i plebanji była przeciw tej wycieczce silnie rozwiniętą, znalazło się jednak 40 ludzi, którzy te wszystkie przeszkody przełamali i na wezwanie pośpieszyli. Obecnie w „Zaraniu", jeden z uczestników wycieczki chłop społecznik, odsiadujący na czas trwania stanu wojennego przymusową kwarantannę w Galicji Teofil Kurczak podaje opis pierwszej tej zbiorowej wycieczki chłopów polskich do Czech.

W wstępnych zdaniach swego opisu p. Kurczak mówi, że oddawna pragnął nareszcie przekonać się o doskonałości czeskich i morawskich drobnych gospodarstw, o których dużo czytał i słyszał bo chciał się upewnić czy też w opisach, które czytał niema przesady. Wyjeżdżając do Krakowa dla spotkania się z braćmi z Królestwa, którzy jechali do Pragi na wystawę ani przypuszczał, że to jego pragnienie tak szybko zostanie urzeczywistnione bo Królewiacy wiedząc, że u wygnańca choćby był dostatnim gospodarzem z Łowickiego jak to właśnie miało miejsce w tym wypadku o grosz trudno, pocichu zmówili się, zrobili składkę między sobą i na swój koszt p. Teofila zabrali. Za co tenże, jako, że jest człowiekiem piśmiennym i znanym współpracownikiem pism ludowych odwdzięcza się im opisaniem tego, co w tej wycieczce zobaczał. Cały opis utrzymany jest w stylu tchnącym prostotą i naturalnością i pełną realizmu plastyką. O zwiedzaniu pamiątek krakowskich tak pisze:

„Cały dzień zeszedł nam na tem zwiedzaniu, aż nogi zabolały, a w oczach się mroczyło, a w sercu gorzało, że się zobaczyło tyle pięknych a pamiątkowych rzeczy".

Już w wagonie rozpoczyna się nauka tych chciwych wszelkiej wiedzy wędrowców. Stoją przy oknach w pociągu, a bystre oczy ich przyglądają się ciekawie wszystkiemu. Różnica kultury jest tak wielką, że dla wielu z nich, to co widzą, snem się wydaje. Zwłaszcza z chwilą gdy wjechali na Morawy, kraj dziwów rozpoczyna się w najlepsze. Dziwią ich wsie murowane piękniejsze od naszych miast. Dziwi ich, cieszy i w zachwyt wprawia pyszna kultura rolna w gospodarstwach chłopskich, płaska orka, siew rzędowy, absolutny brak chwastów na polach, znakomity stan dróg wysadzonych owocowemi drzewami. A wszyscy dzielą się głośno swemi spostrzeżeniami. Każdy zaraz to co ujrzał drugiemu pokazuje. „Spostrzeże więc kto chłopa tnącego kosiarką siano, więc woła: patrzcie! Inny zoczył pług parowy, więc kto może przygląda się mu. Owdzie widzimy orkę w krowy, znowu więc robimy uwagi." Zdumiewa ich umiejętność wyzyskiwania nieużytków, a nawet skarpów kolejowych, zdumiewa ich rozum chłopów czeskich, którzy potrafią chmielniki prowadzić, „kiedy u nas włościanin myśli, że potrafią to czynić tylko dwory".

Na dworcu w Złotej Pradze witani są serdecznie przez ludową autorkę polską Antoszkę, p. Stanisława Formana, sekretarza Klubu Słowiańskiego, p. Jarosława Rozwałę, szczerego przyjaciela ludu polskiego, p. Sławińską, artystkę teatrów ludowych. Nocleg dostają wygodny. „Każdy miał swoje łóżko czyściutkie z... „pierzyną" notuje autor. Nazajutrz od rana idą gromagą całą na wystawę. Tam po bratersku wita ich sekratarz wystawy pan Hawlaczek. Na serdeczne powitanie odpowiada p. Malinowski. Takie powitanie i gratisowy bilet wstępu ofiarowany gromadce przybyszów z Polski przez gościnny komitet wystawy, dobrze usposabia naszych podróżnych.

A no — pomyśleliśmy sobie widocznem jest, że do Czech niestraszno jechać".

Wystawa zachwyca ich, zwiedzają ją gruntownie, systematycznie „po porządku", podzieleni na małe grupy. Najwięcej zajmuje ich dział przemysłowy, a w tem dział maszyn rolniczych. Nowe, nieznane im nawet z nazwy maszyny, oglądają chciwie, rozpytują się o ich użytek i sposób obchodzenia z nimi. Notują sobie firmy czeskie i postanawiają, zamiast niemieckich wyrobów Socha popierać firmę czeską Jana Pacnera z Roudnicy. Zachwycają ich jego siewniki kombinowane (wysiewające jednocześnie zboże i sztuczne nawozy) oraz pielniki konne, te ostatnie, widzą po raz pierwszy, więc też tem większą budzą w nich ciekawość. Po zwiedzeniu działu przemysłu idą obejrzeć oddział szkół rzemieślniczych i przemysłowych. Są nim zachwyceni.

W lot zrozumieli pośredni związek, jaki zachodzi między młodym a już tak imponującym przemysłem czeskim, a naukowem i zawodowem przygotowaniem robotnika — wytwórcy.

„Nic dziwnego pisze p. Kurczak że przemysł czeski tak się rozrósł i jest tak doskonałym, skoro prawie każde miasto posiada do danej specjalności odpowiednie szkoły".

A dalej: „Wychodzi tu już z użycia praktykowanie u majstra, często niewiele co umiejącego, tu szkoła uczy wszystkiego, a u majstra młodzieniec nabywa praktykującej mu praktyczności życiowej".

Wśród tych dziwów i nowości myśl o kraju i uwagi porównawcze nie opuszczają ich. Co chwila jak Leitmotiw w tym opisie powtarza się pytanie „A jak to u nas".

„Wędrowaliśmy tak po wystawie od działu do działu, a o kraju własnym myśleliśmy i nieraz w duszy płakaliśmy: czemu nieszczęśni tego wszystkiego mieć nie możemy".

„Przy zwiedzaniu działów, które z rolnictwem są w najbliższym związku mianowicie cukrowniczego i gorzelniczego, zatrzymuje się p. Kurczak długo i stara się jak najwięcej korzyści z tego co widział wyciągnąć i jako dobre rady podać je czytelnikom, opisawszy więc szczegółowo jak ten dział był urządzony, podaje plastyczny opis poglądowo przedstawionej uprawy buraków na korzeń i na nasienie.

„Ciekawił nas zwłaszcza zbiór nasienia buraczanego, bo u nas drobny rolnik nie bierze się do tego. Musi uważać, że to dla niego zajęcie zbyt delikatne! U nas tedy nasiona buraków plantują albo dwory, albo sprowadzamy je z zagranicy albo wreszcie kupcy zagraniczni wynajmują znaczne obszary ziemi u nas i sami plantują nasienie buraków, najczęściej nawet, przy pomocy naszych ludzi. Nasz więc potrafi to zrobić, tylko zarządzić nie umie, bo świadomości co i jak robić niema i głowy nie lubi ruszać... A oto w Czechach chłopi buraki nasienne platują".

Podobnież zatrzymali się nasi dłużej przy wyrobie spirytusu a to z tego powodu, że zaciekawiło ich ale i oburzyło zarazem, że jest w Czechach parę spółkowych gorzelni chłopskich.

Napadli o to na czeskich włościan gorzelników aż ci: „tłumaczyli się nam, że wyrabiają „lih" na opalanie maszyn i na wywóz zagranicę. No jużci chybaby chłopi nie zarabiali na wyrabianiu trucizny dla najbliższych swych braci chłopów"... W tem miejscu muszę wtrącić coś, co jest z pozoru odstępstwem od tematu ale niemniej jest z nim w głębszym

związku. Oburzenie naszych chłopów na chłopów czeskich — gorzelników jest wyrazem ich najistotniejszych poglądów na tę sprawę. Wiadomo mi, że gdy w tym roku podczas zjazdu delegatów Centralnych Kółek Rolniczych*) w Warszawie przedstawiciele wielkiej własności rolnej zaczęli gorąco nawoływać drobnych rolników do zakładania spółkowych gorzelni chłopskich, wykazując rachunkami zyskowność takiego przedsiębiorstwa, włościanie z stanowczą odrazą odrzucili tę propozycję twierdząc, że „sumienie“ nie pozwala im ciągnąć zysków z trucizny, która jest przyczyną zguby ich braci“. Takie stanowisko zajęli w tym wypadku włościanie, a dodajmy, że nie byli to przedstawiciele kwiatu inteligencji chłopskiej, ale ot tacy przeciętni „szarzy“ ludzie z wiosek. A tyle się mówi w pewnych kołach inteligentów o nizkim poziomie kultury moralnej śródludzi!

Ale wracajmy do wrażeń p. Teofila Kurczaka z wystawy czeskiej.

Zwiedzając dział browarny i cukrowniczy napotkali nasi na śrótę z odpadków przygotowaną na suchą paszę dla bydła. Obznajmili się na miejscu z jej użytkiem, składem chemicznym i sposobem zadawania takiej paszy bydłu a już po przyjeździe nie przestaną domagać się od naszych browarów i cukrowni, aby te, zajęły się wyrabianiem takiej paszy, już taka apostrofa pod adresem cukrowników znajduje się w tym artykule z pewnością będzie ich więcej bo oświecony drobny rolnik nasz poczyna rozumieć, że koniecznem jest dla niego dodatkowe karmienie bydła bo bez tego nie podniesie się jego gospodarstwo mleczne a ściśle mówiąc to i cały postęp w gospodarstwie włościańskiem zależy od podniesienia gospodarstwa mlecznego. Nic więc dziwnego, że dobra, tania i praktyczna pasza dla bydła tak żywo zainteresowała naszych rolników. Po zwiedzeniu rzeczy pożytecznych przeszli do oglądania pouczających i ciekawych a więc do działów przyrodniczego i etnograficznego. W konkluzji autor zamyka taką uwagą, będącą najlepszą pochwałą metody poglądowej.

„Żadna książka nie zastąpi tego cośmy tu widzieli“.

A gdy pod wieczór kiedy się czuli już okrutnie zmęczeni i więcej do gapienia się, niż do zwiedzania z myślą, zdolni przyszła chwila na odczuwanie wrażeń natury estetycznej. Wtedy poczeli zwracać uwagą na piękne kwietniki, klomby i muzykę. Wieczerza w „Czeskiej chacie“ na wystawie przerywana toastami polsko-czeskiemi, zakończyłą ten pierwszy dzień pobytu ich na wystawie czeskiej.

Nazajutrz pod przewodnictwem Antoszki i jednego studenta polaka poszli oglądać osobliwości Pragi. Interesowały ich bardzo pamiątki czesko-polskie a w tem opowiadaniu imię Władysława Jagiellończyka „dobrego króla“, często powraca pod pióro p. Kurczaka. Tego dnia zapoznali się z kilkoma wybitniejszymi działaczami z czeskiego stronnictwa ludowego (t. z. agrarjuszami). Rozprawiali wiele z nimi o stosunkach czeskich i polskich ba! nawet o idei słowiańskiej. Uczciwi Czesi, zapatrują się na sprawę słowiańską tak: „że dopóki dla polaków nie zapanuje sprawiedliwość, dopóki polacy nie uzyskają wolności, na równouprawnieniu narodów opartej, dopóty sprawa słowiańska załatwioną być nie może, dopóty Niemiec będzie górą“... Teraz autor i jego towarzysze mają już dosyć osobliwości i piękności Pragi i wystawy, ciągnie ich to, co ich pociągnęło z kraju, to jest wieś czeska. Jadą więc na cały tydzień na wieś, dla zwiedzenia owych wzorowych gospodarstw włościańskich czeskich i morawskich. *St. Poraj.*

*) Zjazd ten miał miejsce w Lutym r. b. w Warszawie.

SZKOŁA LUDOWA A PRACA DZIECIĘCA.

W teraźniejszej chwili politycznej ciszy i reakcji, ciszy, która nastąpiła po kilku górnych latach szerokiego ruchu wolnościowego, rozwijającego się wśród wszystkich ludów Wszechrosji, w niezwykły sposób daje się uczuwać potrzeba rozejrzenia się wśród tego, cośmy przeżyli, uzmysłowienia i zrozumienia przyczyn żywiołowego, niebosiężnego wyolbrzymienia, a następnie powolnego upadku fali społecznego życia. Z niezwykłą jasnością daje się uczuwać przytem brak wykształcenia, a wraz z tem i chęć rozszerzenia swego widnokręgu umysłowego; wśród szerokich mas ludności zauważamy wzmocniony popyt na wykształcenie. Masy te dotychczas nietylko nie miały nic wspólnego z istotnemi wartościami nauki, ale nie posiadały nawet dostępu do nich, gdyż były one starannie przed niemi zamykane. I oto w miarę tego, jak w masach ludowych budzi się samopoczucie i zapala się żądza lepszej doli, — zwiększa się zrozumienie pożyteczności nauki i zwiększają się wogóle żądania, stawiane w stosunku do źródeł tego wykształcenia — do szkół wszelkich typów, a szczególnie do szkoły ludowej, bądź to szkoły dla dzieci, kursów dla dorosłych, czy też uniwersytetów ludowych.

Pomagać rozwojowi tego budzącego się do życia samopoczucia ludności naszego kraju i zadawalniać jej żądze poznania nie falsyfikatów, lecz rzeczywistej nauki, — oto zadanie, które teraz stanęło w całej swej potędze i pełni przed szkołą ludową.

Nie przeczę, iż szkoła w swej organizacji znajduje się w ścisłym związku z ogólnemi socjalno-politycznemi warunkami kraju i że przy współczesnem ustosunkowaniu sił społecznych nie można stworzyć wolnej, demokratycznej szkoły. Lecz zarazem błędnem jest przypuszczenie, iż odrodzenie tej szkoły możliwem jest tylko po zmianie lub też ewentualnie odnowieniu całego ustroju socjalnego, błędnem jest przypuszczenie, iż kulturalne zadania teraźniejszości należy usuwać na dalszy plan przyszłości!

Nie należy więc opłakiwać nieuleczalnego niedomagania starej szkoły, ani też podpierać butwiejące ściany współczesnej szkoły ludowej, przeciwnie! — należy teraz właśnie budować jasny, świetlany gmach, który by dla wszystkich na oścież rozwarł swe podwoje, gdzie nauka a wraz z nią i sztuka uznane byłyby jako własności wszystkich bez wyjątku członków naszego społeczeństwa, gdzie każdy zdolny będzie, w miarę sił swoich, nasycić wielki głód wiedzy, zadowolić swe dążenia ku prawdzie, ku wszechstronnemu, scharmonizowanemu rozwojowi swej indywidualności.

Wskazując i wyjaśniając zadania odrodzonej szkoły, winniśmy przedewszystkiem rozwiązać pytania: dla kogo przeznaczona jest właściwie szkoła, jakie warstwy, jakie klasy społeczne powinna obsługiwać, jakim zasadniczym żądaniom powinna odpowiadać?

Wątpliwą jest rzeczą, czy *dzisiaj* odczuwa ktokolwiek potrzebę obszernego dowodzenia, iż niezbędną jest popularyzacja wykształcenia, specjalnie początkowego wśród wszystkich klas naszego społeczeństwa; — projekt wprowadzenia powszechnego obowiązkowego nauczania, wciąż powtarzające się głosy co do powiększenia kursu ludowej szkoły początkowej, dobitnie wskazują nam, że niezbędność utworzenia początkowej ogólno-kształcącej szkoły dla dzieci w wieku lat 7—14 już została literalnie wgwożdżona w nasze samopoczucie społeczne.

Jeśli rzucimy okiem na więcej kulturalne kraje Zachodu, jako to Niemcy, Anglję, Francję, Szwecję, to ujrzymy, że tam powszechne nauczanie już z dawien dawna uznane zostało nietylko jako *pożądane*, lecz i *obowiązkowe*, i że początkowa szkoła ludowa otwiera swe podwoje przed wszystkiemi dziećmi, bez różnicy płci, klasy, stanu, narodowości i wyznania.

A więc początkowe nauczenie powinno być powszechnem, ogólnodostępnem, ergo — i bezpłatnem. Lecz, dla-

czegóż, powiedzą niektórzy, czynić ją *obowiązującem*? Wszak to tylko krępuje wolność rodziców, dla których może być niekiedy niezbyt dogodnem lub też wręcz niemożliwem posyłanie dziecka do szkoły!.. Obowiązkowość nauczania jest pewnym gwałtem, popełnionym nad obywatelem kraju, wmięszaniem się w jego stosunki domowe!

Lecz wprzód, nim mówić o gwałcie, rozpatrzmy, jakie motywy zmuszają rodziców lub też wogóle opiekunów dziecka do nieposyłania go do szkoły. Motywy te w olbrzymiej większości wypadków są następujące: analfabetyzm i niezrozumienie roli oświaty w indywidualnem i społecznem życiu, niezadowolenie z istniejących sposobów nauczania, despotyzm rodzinny, no i, główni, rozumowanie o charakterze ściśle ekonomicznym, czyli niechęć lub też niemożność czynienia jakichkolwiekbądź wydatków na książki, ciepłą odzież i t. d. a następnie chęć sprzedaży od najwcześniejszego wieku pracy dziecka, lub też dążenie do owocnego zużytkowania jego siły i zdolności w domu. Im biedniejszem i mniej kulturalnem jest środowisko, w którem wyrasta dziecko, tem częściej nie chcą tam posyłać dzieci do szkół, pozbawiając je tem samem możności umysłowego rozwoju i jednego z lepszych środków walki o byt.

(D. c. n.) *Bol. Rozstański.*

E C H A.

KLĄTWA BISKUPIA.

„Sowremiennoje Słowo" pisze:

„Ziarna zasiane na zjeździe misjonarzy w Kijowie poczynają już kiełkować.

Oto jeden z dygnitarzy kościoła prawosławnego Serafim, biskup witebski rzucą na rusinów, którzy, korzystając z Ukazu tolerancyjnego, przeszli na katolicyzm, klątwę, która brzmi, jak następuje:

»Wzywam na głowy białorusinów, którzy otrzymali chrzest w cerkwi prawosławnej, wszystkie te niedole i utrapienia, jakie wieszczy posiadanie daru proroczego, *to jest nieszczęście we wszelkiem dziele rąk ich, choroby śmiertelne, obłęd umysłowy, ruinę domową;* zgodnie z nadaną mi władzą upoważniam wszystkich podległych mi pasterzy, aby na głowy białorusinów, *przestępujących próg* kościoła katolickiego, rzucali tę anathemę«.*)

Omawiając powyższą klątwę, „Sowremiennoje Słowo" w zakończeniu artykułu pisze:

„Czy rząd ma prawo i podstawę pozwalać, aby w państwie stosowano tego rodzaju środki, które kodeks karny kwalifikuje jako podniecanie jednej części ludności przeciw drugiej?" *P.*

Z FILHARMONJI.

Niewyczerpany w urządzaniu wszelkiego rodzaju skandali i zatargów p. Rajchman spowodował znowu ostry konflikt z orkiestrą. Artyści teroryzowani jego brutalnością, denerwowani jego pretensją decydowania w kwestjach muzycznych przy znanej absolutnej ignoracji w tych rzeczach z jego strony, krzywdzeni niepunktualną wypłatą gaży, chwycili się praktykowanego w całym świecie sposobu zrzeszania się i udali się pod opiekę Związku Muzyków Polskich, aby uroszczeniom p. Rajchmana tem skuteczniej kres położyć.

Ze zwykłą bezwzględnością swą p. Rajchman dał gremialną dymisję wszystkim artystom t. j. ni mniej ni więcej tylko rozwiązał całą orkiestrę. Jedyne doprawdy widowisko — instytucja muzyczna bez muzyków! A na czele jej człowiek, który z trudem rozróżnia klucze wiolinowe i basowe od innych kluczy codziennego użytku!

*) Podkreślone w oryginale klątwy. (*Przyp. Red.*)

I w tym wypadku odwołał się p. Rajchman do pomocy policji przeciwko współpracownikom-artystom ujawniając ponownie znamienny rys swego charakteru i swego taktu postępowania.

Za pośrednictwem ludzi dobrej woli nawiązane zostały pertraktacje pomiędzy Związkiem Muzyków a Zarządem Filharmonji, — sprawa prowadzona przez p. Rajchmana ze zwykłą jemu perfidją i złą wiarą napotyka jednakże na poważne szkopuły i stoji obecnie w takiem stadjum, że prawdopodobnie b. orkiestra Filharmonji i Opery dawać będzie koncerty samodzielnie na zasadach kooperatywy pod kierunkiem p. Emila Młynarskiego lub p. Jerzego Schneevoigta.

W związku z powyższą sprawą ogłosił p. Rajchman list, mający wytłomaczyć i usprawiedliwić jego postępowanie. Jako przyczynek do charakterystyki tego wystąpienia jego podajemy list, otrzymany od jednego z najbardziej dotkniętych samowolą i arogancją Rajchmana:

Szanowny Panie Redaktorze!

Widzę się zniewolonym prosić Sz. Pana o łaskawe pomieszczenie sprostowania incydentu mnie dotyczącego, a przedstawionego niezgodnie z prawdą w liście p. Rajchmana pomieszczonym w № 412 „Nowej Gazety". P. Rajchman pisze:

„B. buchclter Filharmonji puścił w świat paszkwil na mnie. Wytoczyłem mu proces. A potem takież paszkwile wydrukował na Zarząd. Zlękłszy się zdwojonej odpowiedzialności„.

Chronologja faktów była wręcz odwrotną i sprawdzić to można dowodnie w aktach Sądu okręgowego w VI wydziale kryminalnym. Po moim „paszkwilu" z 12 czerwca 1906 (którego ścisłość dostatecznie ujawnioną została przez zwrot inkryminowanych dziesiątek) pospieszył p. Rajchman *wpierw* puścić w świat swój falsyfikat z moim jakoby podpisem, aby narzucić mi zdwojoną odpowiedzialność, *w następstwie dopiero* wytoczył mi proces, — skarga jego z Lipca 1907 dotyczy obu publikacji! Przed nikim nie zaprzeczałem autorstwa *mego* listu otwartego. — lecz nikt nie widział w mem ręku podstępnego falsyfikatu p. Rajchmana.

W denuncjacji swej p. Rajchman wyraźnie występuje jako obrońca praw cenzuralnych i przepisów dotyczących ograniczenia wolności druku, jak to widać z autentycznego tekstu jego listu który w swoim czasie pomieszczony został w „Społeczeństwie" (№ 18 r. b.)

Kłamał p. Rajchman, że rewizja wykryła w mem mieszkaniu jego falsyfikat. — Nie można było znaleźć tego, czego nie było.

Jaka jest prawdomówność p. Rajchmana i wiarogodność jego denuncjacji, to widzimy ze wzmianek prasy poznańskiej:

„W imię prawdy. Przedstawiono nam deklarację, podpisaną przez wszystkich księgarzy poznańskich, w której ciż oświadczają solennie, iż pana Franciszka Poleskiego znają od dziesiątków lat jako człowieka nieposzlakowanego honoru i uczciwości, więc kalumnje, dotyczące pobytu tegoż p. Poleskiego w Poznaniu a rozgłaszane w Warszawie pod przysięgą przez dyrektora znanej instytucji artystycznej, uważać należy jako świadomie popełniany fałsz i zwrócić takowe przeciwko nieuczciwemu oszczercy".

Jestto odparcie nikczemnej potwarzy rzuconej na mnie przez p. Rajchmana. W kodeksie karnym nie ma paragrafu dostatecznie karzącego potwarz tak potworną, lecz mam prawo żądać od społeczeństwa, aby wyeliminowało ze swego grona osobnika, któremu takie czyny udowodnione zostały".

Franciszek Poleski.

Warszawa 8 Września 1903 r.

Z TEATRU.

»Dla honoru« Leo Belmonta »Chrząszcze« E. Brieux.

Zadziwiającą jest różnorodność kierunków, w jakich pracuje p. L. Belmont. Jest powieściopisarzem, nowelistą, poetą, publicystą, dziennikarzem. Jako dramaturg zadebiutował po raz pierwszy. Pracą swoją publicystyczną zdobył sobie renomę wśród ogółu czytającej publiczności. Niektóre artykuły jego pióra — są jednemi z ciekawszych dokumentów publicystyki naszej z lat ostatnich. Myślę, że właśnie artykułami temi zrobił sobie pokaźny zastęp wrogów. Chłostał bo ich namiętnie. Wypominał szalbierstwa i oszustewka; miał dużo cywilnej odwagi. Był jednem słowem niebezpiecznym człowiekiem. I tem właśnie, jak również socjalnym podkładem sztuki trzeba tłomaczyć sobie, że dramat jego spotkano obłudnie.

Jest faktem, że dramat p. Belmonta nie należy do najmocniejszych utworów scenicznych. Jestem jednak pewny, gdyby pod tym dramatem znaleziono jakiś inny podpis — prasa zachowałaby się inaczej. Osłabiała wrażenie dramatu Belmonta również w znacznej mierze niewyraźna dykcja aktorów. Publiczność przyjęła sztukę życzliwie.

»Chrząszcze« — wystawione przez p. Kamińskiego dowiodły wielkiej pomysłowości reżyserskiej. Widz jest ciągle skupiony, napięty w uwadze, bo scena drga życiem, mieni się mozaiką sytuacji obmyślanych nadwyraz subtelnie.

Fabuła »Chrząszczów« jest życiową tragifarsą dwojga kochanków. Nutę codziennego życia urozmaicają sobie biciem, »scenami« wreszcie nawet... samobójstwem. Samobójstwo jednak... kończy się powrotem do przyjacielskiego łoża. I znów zapewne toż samo nudne, płaskie życie.

Aktorzy grali bardzo dobrze. Pani Pichor, p. Wilczyński, Owerło — grali nawet koncertowo. Wystawa odpowiadała w zupełności »psychologji« środowiska. Zupełne złudzenie rzeczywistości podkreślały prawdziwy sufit i *drewniane drzwi*.

Eustachy Czekalski.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Feliks Kon. »Ze wspomnień «Proletarjatczyka«. I »Etapem na katorgę«, II »W katordze na Karze«. Kraków 1908. Nakł. A. Heflicha.

Jeden z podsądnych w wielkim procesie „Proletarjatu“ w roku 1885, Feliks Kon, skazany wówczas na 10 lat i 8 mies. robót ciężkich, w dwu wyżej wskazanych książkach podaje garść wrażeń swych, przeżytych podczas siedzenia w X pawilonie cytadeli wsrszawskiej w drodze na katorgę i w katorżniczem więzieniu na Karze. Obie rzeczy, pisane językiem barwnym i żywym, zawierają bardzo wiele ustępównader silnych i wstrząsających. Przemawia z nich nie fantazja i kompozycja autorska, lecz prawda, straszna i okrutna w swej nagości. Największe wrażenie wywiera w tomie pierwszym opis stracenia Kunickiego, Bardowskiego, Pietrusińskiego i Ossowskiego w dniu 28 stycznia 1886 r. Rozdział ten, jako oddzielna całość, był drukowany w r. 1906 w petersburskim miesięczniku „Byłoje“ p. t. „U stóp szubienicy“. W drugim zaś tomie przejmuje do głębi historja tragedji w katordze na Karze w r. 1889, kiedy to czternastu zesłańców, (w ich liczbie i autor książki) w celu zaprotestowania przeciwko stosowaniu kary cielesnej względem katorżników politycznych, zażyło trucizny. „Ze wspomnień Proletarjatczyka“ posiada wiele zalet literackich i zasługuje na uwagę, jako jedyną w tym rodzaju rzecz w literaturze polskiej.

»Młoda Ukraina«, wybór nowel, zebrał i tłomaczył Władysław Orkan. Warszawa 1908. Nakł. G. Centnerszwera i S-ki.

„Młoda Ukraina“ — a więc ci, co, zerwawszy ze starą tradycją, wnieśli coś nowego i orginalnego do literatury rodzimej, ci, co szukają i stwarzają nowe formy dla ujęcia w nie nowych treści, ci, co z zapałem i siłą młodzieńczą pragną nowych, jasnych świtów i nowych prawda, ci, co umieją z mocą bezmierną zarówno kochać, jak nienawidzieć, przeklinać, jak czcić, wierzyć, jak wątpić, ci, którzy umiłowali piękno i ku niemu dążą. To, lub prawie to, mówić nam zdaje się tytuł. Lecz, niestety, srodze zawiódłby się ten, ktoby w tej książce wszystkiego tego doszukać się pragnął. Ani nowych form, ani nowych treści. Stare, dawno i postokroć powtarzane tematy, od których zupełnie nie wieje młodością, ujęte w słabo, często nieudolnie, sklecone nowele. Wśród dwudziestu sześciu utworów czternastu autorów niema ani jednego o głębszej myśli i większej wartości literacko-artystycznej. Nawet Potapenko i Stefanyk, tak zaszczytnie znani w literaturze ukraińskiej, są w tomie tym reprezentowani przez judne z najsłabszych swych nowel. Przypuszczam, że tłomaczowi szło głównie nie c podanie najlepszych utworów pisarzy ukraińskich, lecz tych, które najdosadniej potrafją odtworzyć duchowy wizerunek autorów. Jeśli tak, — to, opierając się na antologji niniejszej, nie możemy nabrać zbyt szczytnego pojęcia o młodej literaturze ukraińskiej. Szkoda, że p. Władysław Orkan nie zaopatrzył książki tej, krótkim choćby, szkicem krytycznym, z któregoby czytelnik mógł się dowiedzieć, jakie miejsca w literaturze ukraińskiej zajmują przytaczani przezeń autorzy. Na zakończenie zauważyć muszę, że tłomacz nie ustrzegł się błędów językowych — spotyka się w książce wiele rusycyzmów. Mimo wszystko to jednak, książka ta jest ciekawą, gdyż daje czytelnikowi polskiemu możność poznania młodej literatury ukraińskiej, o której dotychczas względnie mało wiemy.

Marceli Sachs

UPTON SINCLAIR.

METROPOLIS.

Powieść na tle życia wielkomiejskiego.

I.

Po wyjściu z kościoła Ś. Cecylji, gdzie się zbierało arystokratyczne towarzystwo New-Yorskie, Allan Montague ujrzał starego druha swego ojca, sędziego Ellisa. Sędzia zbliżył się do młodego adwokata i rzekł:

— Gdzie pan mieszka? Chcę w tych dniach z panem pomówić.

Allan wręczył mu swój adres, a po kilku dniach otrzymał zaproszenie na śniadanie w klubie, którego członkiem był sędzia.

Klub ten zajmował olbrzymi narożnik Piątego Avenue. Był to jeden z najznakomitszych klubów. Powstał on w czasie wojny domowej. Wychudli i wygłodzeni bohaterowie po powrocie z pola bitwy rzucili się w wir interesów i ci, którym się udało zrobić pieniądze, osiedli tu, aby zakosztować spokoju. Widząc ich teraz drzemiących słodko w ogromnych, skórą obitych fotelach, trudno było sobie wyobrazić, że byli oni niegdyś owemi chudemi i wygłodzonemi bohaterami, Teraz byli to dyplomaci i dostojnicy państwowi, biskupi i prawnicy, wielcy kupcy i finansiści — słowem ludzie, którzy od stu lat utworzyli panującą klasę wielkomiejską. Wszystko się tu odbywało poważnie i ceremonjalnie. Kelnerzy bez szmeru snuli się we wszystkich kierunkach.

Montague rozmawiał z sędzią o New Yorku, o tem, co widział dotąd i o ludziach, których poznał. Mówio-

no również i o ojcu Allana, generale Montague, o wojnie, o wyborach i sprawach finansowych. Tymczasem zastawiono śniadanie, a kiedy doszło do cygar, sędzia odchrząknął i rzekł:

— A teraz chcę z panem pomówić o interesie.

Montague przybrał postawę oczekującą.

— Mam przyjaciela — rzekł sędzia — bardzo dobrego przyjaciela, który niedawno prosił mię o to, abym mu zalecił adwokata do pewnej bardzo ważnej sprawy. Omawiałem tę sprawę z przyjacielem moim jenerałem Prentice i obaj zgodziliśmy się na to, żeby ją zaproponować panu.

— Jestem panu nadzwyczajnie wdzięczny — rzekł Montague.

— Sprawa jest bardzo drażliwa — ciągnął dalej sędzia. — Wiąże się ona z ubezpieczeniem na życie. Czy zna się pan na sprawach ubezpieczeniowych?

— Wcale nie.

I ja tak myślałem — rzekł sędzia. — Są okoliczności, których ogół nie zna, te zwłaszcza, które, wyrażając się łagodnie, nie są natury zadawalającej. Mój przyjaciel ubezpieczył się w kilku towarzystwach bardzo wysoko, ale nie zgadza się na kierunek tych towarzystw. Sprawa jest dla mnie tem drażliwsza, że mój przyjaciel nie zgadza się, zwłaszcza z kierownictwem towarzystwa, w którem ja również jestem jednym z dyrektorów. Czy rozumie mnie pan?

— Doskonale — rzekł Montague. — Cóż to za towarzystwo?

— „Fidelity“ — rzekł sędzia. — Ale przedewszystkiem proszę pana o to, aby czy się porozumiemy czy nie, sprawa została między nami. Stanowisko swoje wyłożę panu w krótkich słowach: niejednokrotnie protestowałem na zebraniach dyrektorów przeciw manipulacjom, które uważam za niewłaściwe — lecz protestu mego nie uwzględniono. Kiedy mój przyjaciel prosił mnie o radę, nie starałem się go odwieźć od wszczynania sprawy. Otóż nie można, aby nazwisko moje figurowało w tej sprawie. Pojmuje pan?

— Doskonale — rzekł adwokat. — Gotów jestem robić, co mi pan poleci.

— Dobrze. Niech więc pan skupi uwagę. Wyłożę panu szczegółowo, o co chodzi. Towarzystwa zbierają olbrzymie przewyżki, które według prawa należą do właścicieli polis. Lecz zarządy rozmaitych towarzystw ubezpieczeniowych zatrzymują te dywidendy, bo nagromadzenie kapitałów daje im i ich towarzyszom wielką potęgę finansową. Według mego zdania jest to nietylko wielka społeczna niesprawiedliwość, lecz i okoliczność wysoce niebezpieczna.

— Ależ tak! — zawołał Montague.

Był on bezgranicznie zdziwiony, że tego rodzaju wiadomość otrzymuje z takich ust.

— Jak dawno już się tak dzieje? — zapytał.

— Od bardzo dawna — rzekł sędzia.

— Ale jakże to być może, że o tem nikt nie wie?

— Wie o tem każdy, kto się jako tako zna na sprawach ubezpieczeniowych. Nigdy przeciw temu nie wytoczono procesu ani zrobiono z tego sprawy publicznej, bo zainteresowani w tej kwestji mają tak wielką i szeroką potęgę, że nikt się nie odważył przeciw nim wystąpić.

Montague nachylił się naprzód, utkwił oczy w sędziego i rzekł:

— Mów pan dalej, proszę.

— Sprawa jest bardzo prosta. Mój przyjaciel Mr. Hasbrook chce wytoczyć proces towarzystwu „Fedelity“, aby je zmusić do wypłacenia prawnie przypadającego udziału przewyżki. Chce przeprowadzić proces bardzo poważnie, przez wszystkie instancje.

— Czy chcesz pan przez to powiedzieć, że tu w New Yorku trudno będzie znaleźć adwokata, co się tej sprawy podejmie?

— Nie, — rzekł sędzia — nie o to mi chodzi. Znajdą się tu adwokaci, którzy się tej lub każdej innej sprawy podejmą. Ale znaleźć adwokata o pewnej wziętości, co się podejmie proces ten przeprowadzić i oprzeć się naciskowi, jaki nań ze wszystkich stron wywierać będą — na to istotnie trzeba dużo czasu.

— Zadziwia mię pan, panie sędzio.

— W tem mieście interesy finansowe kojarzą się ściśle z sobą, panie Montague. Zapewne są tu firmy prawnicze, których interesy zgadzają się z interesami przeciwników zarządów ubezpieczeniowych. Możnaby było bardzo łatwo nakłonić te firmy, aby wzięły sprawę w swe ręce, ale wtedy na mego przyjaciela padłoby podejrzenie, że wszczyna proces dla własnej korzyści. Tymczasem chce on, by sprawa przedstawiała się tak, jak jest rzeczywiście: jako proces osoby niezależnej, która chce wziąć w obronę interesy licznej masy właścicieli polis. Dlatego chce on mieć adwokata, który nie ma żadnych stosunków z osocami zainteresowanemi — człowieka, co z własnej woli chce całą swą energję skierować na tę sprawę. I dlatego pomyślałem o panu.

— Podejmuję się tego procesu — rzekł bez wahania Montague.

— Uważam za właściwe zwrócić panu uwagę, że czyni pan krok stanowczy. Wystąpi pan przeciwko wrogowi bardzo potężnemu i, jak się obawiam, nie mającemu żadnych skrupułów. Może się zdarzyć, że odwrócą się od pana inni pożądani klienci. Może się zdarzyć, ze pańskie interesy, jeśli je mieć będziesz, zostaną poważnie zagrożone, pański kredyt podcięty i tak dalej, i tak dalej. Niech pan będzie przygotowany na to, że gazety będą spotwarzać pana i powątpiewać o czystości pańskich pobudek. Zapewne starać się będą wywrzeć na pana nacisk za pomocą opinji publicznej. Słowem jest to krok, przed którym cofnęła by się ogromna większość rozpoczynających karjerę młodybh ludzi.

Montague pobladł nieco słuchając sędziego.

— Więc spodziewać się trzeba niesprawiedliwości i nadużyć?

— Tak, z pewnością przeciwnicy pańscy nie cofną się przed niczem.

— Dobrze! Montague zacisnął pięść i położył ją na stole. Biorę na siebie ten proces.

Nastała dłuższa pauza.

— Urządzę spotkanie pana z Mr. Hasbrookiem — rzekł wreszcie sędzia. Jest to człowiek bogaty i będzie mógł panu dobrze zapłacić. Żąda on od pana bardzo wiele i uważać będzie za rzecz słuszną odpowiednio pana wynagrodzić.

Montague namyślał się przez chwilę.

— Nie mam o tem należytego pojęcia — rzekł w końcu. — Sądzę, że najlepiej będzie pelecić to panu. Pan sam określi wysokość honorarjum.

— Gdybym był na pańskiem miejscu, to zażądałbym pięćdziesięciu tysięcy dolarów zgóry — rzekł sędzia Ellis. — Zdaje mi się, że będzie on gotów nie mniej zapłacić.

Montague był niemal przerażony. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Zakotłowało mu się w mózgu od tych słów. Postanowił sobie wziąć się do sprawy z całą zajadłością.

— Dobrze — rzekł, chyląc głowę poważnie. — Jestem panu bardzo obowiązany.

Po chwili zaś dodał:

— Mam nadzieję, że poprowadzę sprawę w ten sposób, że pański przyjaciel będzie zadowolony.

— Pańskie zdolności okażą się same. A za pański charakter ja ręczyć będę.

— Trzeba go będzie również uprzedzić, że ja tu jestem jeszcze obcym — rzekł Montague, — że potrzeba nieco czasu, aby zbadać sytuację.

(D. c. n.)

Wykłady o Moralności Naukowej.

W sali obok redakcji „Czystości" (Żelazna 72a) odbędzie się staraniem organizującego się Towarzystwa „Czystość" systematyczny kurs „moralności naukowej" w jedenastu wykładach D-ra Aug. Wróblewskiego. Wykłady odbywać się będą co czwartek o 8 ej wieczorem, rozpoczną się 17-go września. Zapisywać się można w redakcji „Czystości" 6—8 godz. wiecz. Płaca za kurs 2 rb. 50 k., albo 30 k. za wykład.

Program: 1) Przyrodnicze podstawy praw moralności. 2) Krytyka filozoficznych systemów moralności ze szczególnem uwzględnieniem kierunku materjalistycznego. 3) Moralność indywidualna. Godność osobista. Prawdziwość a kłamstwo. 4) Świadomość. Charakter. Narkotyzowanie się. 5) Podwójna moralność. Prostytucja a małżeństwo. 6) Hygiena jako etyka. 7) Moralność społeczna. Sprawa robotnicza. Sprawa kobieca. 8) Prawo do życia wobec zabójstw i wojen. 9) Moralność narodowa. Krytyka egoizmu narodowego. Sprawa żydowska. 10) Etyka w nauce, sztuce, polityce. 11) Etyka religijna. Przyrodnicze podstawy religijności.

Redaktor i Wydawca *Piotr Wilamowski*. Druk E. Skowrońskiego, Nowy-Świat. 43.